



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy

Krakowskie-Przedm. Nr. 111 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta

kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1

sg. 20.

### POGA WĘDKA.

W chwili kiedy, po długiej przerwie, z czytelniczkami „Bluszcza“ rozmawiać zaczynam,—na niebo zatacza się lato.... a na ziemi, widocznie władzy nieba nie uznająca jesień w najlepsze harcuje. Przy 9 stopniach ciepła czyli 7 stopniach zimna letniego grad łucze w szyby, chłodny wicher od dwudziestu czterech godzin wiejący mrozi ręce—i wyobraźnię tych, którzy liczyli na niedzielę jako na dzień wycieczki zamiejskiej. Kuśmierz zdaleka stoi i śmieje się z lekkich strojów dam i wciętych zakietów złotej czy też pozłacanej młodzieży warszawskiej. Przy takich zimach, jakimi były dwie poprzednie, nie trudno znowu będzie naśmiać się z kuśmierz. Można by powiedzieć, że żywioły przyrodzone coraz mniej trzymają się we wskazanych sobie szrankach. Zima niecierpliwa, dziwnie niecierpliwa w klimacie który jej sześć miesięcy w roku pod panowanie oddaje, wysuwa się przed granice swoje i jak może dokucza wiosnie i latu. Ona przecież walki o byt prowadzić nie potrzebuje... Trudno byłoby jej zatem usprawiedliwić się, trudniej niż „Pozytywnym“ Narzynieckiego, Pozytywnym naszego społeczeństwa. Bo „Walka o byt“ wszystko wytlómaczy, wszystko uprawnić, nawet usprawiedliwić można w stosunkach między ludźmi. Ale zima?... Zima daremnie uciekałaby się do teorii, przedstawiającej cheiwość w pięknej formie artystycznej.—Zima spokojną może być o to, że grudzień nigdy majem nie będzie.

Takie jednak są prawa imaginacji ludzkiej, że na odwrót maj łatwo grudniem być może.—Wyobraźcie sobie na przykład, że młode ośmastoletnie dziewczę utraciło na wiosnę narzeczonego lub matkę—nie wiem która z tych dwóch miłości potężniejszą bywa

w sercach kobiet naszych — czemuż będzie dla niej cały majestat słońca, najcudniejsze oświetlenie nieba, najbujniejsza roślinność, czem pałające rozkoszą powietrze, czem jaśminy i róże, w które się stroi czerwiec—czemuż będzie to wszystko, jeśli nie grobem czarnym, zięjącym ironię?

Ale i na grobach kwiaty są potrzebne; koją żalność po tych co w grobach spoczęli. Dziewczę z początku patrzeć na kwiaty nie mogło; później samo znieść je będzie na mogiłę matki lub ukochanego... Zmieni się forma, lecz miłość pozostanie miłością. Ostre zarysy wrażeń wypolerują się przez życie: maj następny dla biednego dziewczęcia znowu majem będzie. Serce znowu pokocha—i znowu szczęśliwem się nazwie. Jeden jest tylko ranek w dniu, jedna wiosna w roku—a w życiu kobiety?... Powiedźcie.

\* \* \*

Widzę już jak mnie recenzenci piśmienni, i niepiśmienni z obłoków na ziemię ściągają. Stają więc na bruku warszawskim, na tym i dla koni i dla pegaszów nieznośnym bruku — i rozpamiętywać zaczynam sprawy maja i czerwca.

Najpierw nasuwają mi się na myśl liczne pożary, których przez dwa te miesiące było pewno z piętnaście większych i mniejszych. Pożary to wypadki publiczne: spieszą na nie ciekawi z najodleglejszych stron miasta. O aktorów tylko trudno; *pospólstwo* wymyka się od pompowania wody; klasy zaś wyższe osłonięte są przywilejem, którego nie znają weale Francuzi. Największy z pożarów nastąpił w samym początku maju, dotknął rodziny niezamożne. Zrobiono składkę publiczną, która przyniosła więcej nad rzeczywistą potrzebę. Przyszanie, że fakt to dość oryginalny i dowodzący dobrego serca Warszawy. Miłosierdzie jej we wspomnianym tu wypadku stało się nawet uciążliwem dla pośredników, których zarzucano ciągle datkami w pieniądzu i w naturze wtedy jeszcze, kiedy już każdy z pogorzalców owoce miłosierdzia do syta spożywał.

Warszawa może się nazwać miłosierną, choćby tylko dla tego, że popiera zabawę—miłosierne. Loterya fantowa dorocznie odbywana w ogrodzie saskim na korzyść wszystkich zakładów dobroczynnych, przyniosła d. 13 czerwca r. b. brutto 25,000 rs. Z tego źródła nie było jeszcze nigdy tak wysokiego dochodu: biednym i cierpiącym przybył fundusz znaczny — na dalszą biedę i cierpienia. Tem większą zasługę w dostarczeniu go mają warszawiaczy i warszawianki, że zimno podczas loteryi było przerażającym. Ale czegożby się nie zrobiło dla bliźnich?

Do wypadków publicznych należy też i wylew Wisły. Wydarzył się on właśnie przed miesiącem, w porze nigdy prawie nie bywałej. Przybór był gwałtownym, woda wysoko się podniosła — szkód jednak wielkich wylew tegoroczny podobno nie zrzucił. Bez strat i zniszczeń oczywiście obyć się nie mogło, te jednak nie mają znaczenia kłeski ogólnej. Poeci cieszyli się, że Wisła tak wspaniale płynie i że jej powierzchnia nie wygląda jak łachman podarty na ciele nędzarza. Pięknie bo też toczyły się fale największej z rzek naszych. Ekonomisci znowu, gospodarze społeczni stawiali przy wylewie ponownie, poraż może setny, kwestyę uregulowania koryta Wisły i obwarowania jej brzegów. Biedna ta Wisła, biedne macoszne dziecko! Coby tu zrobić można i dla niej i dla kraju, gdyby bieg jej w karby porządne ujęto! Zadanie to bodaj czy nie ważniejsze od zbudowania kolei nadwiślańskiej.

Jarmark wełniany sprowadził do Warszawy wiele ogorzałych twarzy, postaci barczystych, które się we dwie w jednej dorożce pomieścić nie mogły, pustych kieszeni—a przy nich rąk czekających na to, aby pieniądze, jakieby wpaść mogły, w biegu jeszcze pochwyć; sprowadził nam panie wiejskie noszące się bardzo strojnie nawet przy peregrynacyach za sprawunkami—zapewne z obawy zbytnej skromności w ubiorze; sprowadził wozy z wałtuchami i wałtuchy z runami owczemi: jednym słowem to wszystko co się pod ogólnym wyrazem

„wełna“ rozumie. Jarmark nie byłby wełnianym, gdyby na nim wełny nie było. Wełna w workach to wełna dla szlachty; szlachta znowu to wełna do Warszawy. Obie strony doznały w tym roku zawodu: szlachta przywiozła mało wełny i źle ją sprzedała, a skutkiem tego i kupiec warszawski przerażony się musiał w nadziejach — bardzo zresztą godziwego — obstrzyżenia hreczkosiejów. Z całego dowozu (30,000 pudów) dwie trzecie tylko sprzedano za liche pieniądze. Kupcy się zmówili. W rezultacie starczyło zaledwie na jedną suknię jedwabną i drugą „skromną“ dla pani, na prolongatę rewersu dla *pocziwca*, który dziesięć lat już czeka na swój kapitał i wreszcie na odetchnięcie trochę w „Eldorado“ lub „Alhambrze“ przy podskokach „Pięknej Heleny“ lub „Małego Fausta“. Życie tak ciężkie — a wełna tak lekka i tania! Trzeba się trochę rozerwać.... W piątek wieczorem było już po jarmarku.

Warszawianie ciekawie w tych dniach obracali głowy za dorożką jadącą przez Senatorską ulicę. W dorożce siedziała młoda, przystojna, sympatycznie wyglądająca pani w przyzwoitem ubraniu kobiety klas wyższych. Wiochna także młoda, ładna, świetniejąca najwytworniejszą elegancją świątecznego swego stroju, siedziała również w tej dorożce, ale aż na koźle!... Rozpromieniona nieukrywaną radością z widzenia wielkiego miasta, ciekawa, zajęta, patrzyła wesoło inteligentnym wzrokiem na ruch, który ją otaczał, i byłby to wcale ładny obrazek rodzajowy, gdyby go nie szpecił ten rozdział, to odepchnięcie tak dalekie sługi od pani. Może ktoś pomyśli, rzecz tłumacząc, że bliższe miejsce zajmował jakiś kuferek, koszyk, któremu dano pierwszeństwo, ale i tak nie było. Pani siedziała w pustym zupełnie powozie sama jedna.

Można przypuścić, że większość wykształconych pań warszawskich posadziłaby służącą swoją obok siebie, ale chyba niema już żadnej, tak bardzo zafanowanych pojęć, któraby zepchnęła ją dalej jak na siedzenie z przodu. Gdy się pomyśli jaki to rozdział między służbą a rodziną musi istnieć w domu owej pani, tak się lekającej dotknięcia istoty niepoświęconej na godność zbliżenia do niej choćby chwiloowego, gdy się pomyśli jak się tam układać musi stosunek społeczny klas, dziwnie smutne może ogarnąć uczucie. Czyżby postęp cywilizacyjny nie istniał wcale dla pewnych okolic naszego kraju, czyżbyśmy z biegiem ciężkiego czasu nie się nie poprawili, niczego nie nauczyli, nie stali się mądrymi nawet po szkodziu?

Dnia 9 czerwca odbyło się w osadzie leśnej Studzieniec, pomiędzy Skierniewicami i Rudą Guzowską założenie kamienia węgielnego pod pierwszy domek murowany dla pomieszczenia nieletnich przestępców, nad którymi opiekę i poprawę społeczną wykonywać będzie Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, trzy lata temu zawiązane. Na akcie znajdowali się założyciele Towarzystwa, kilku promotorów znacznej wielce instytucji, przedstawiciele prasy, obywatele z sąsiedztwa i lud okoliczny. Ceremonia odbyła się poważnie, staraniem głównym pana Feliksa Sobańskiego, wice-prezesa Towarzystwa i fundatora jednego z domków. W gronie założycieli wystąpiła kobieta, jedna z dwóch podpisanych na projekcie Towarzystwa, dając innym przez to dobry przykład, tak potrzebny w kraju, gdzie kobiety chorują na egoizm domowy, zadowolnienie myśli i małość życia. Towarzystwo posiada obecnie majątek do 30,000 rs. wynoszący. Odradu stanąć ma w tym jeszcze roku sześć domków murowanych i jeden drewniany. Zaraz potem bezwzględnie Towarzystwo rozpocznie swoją działalność. Budowy podjął się prawie bezinteresownie pan Reichman. Warszawa nie dopisała. „Domek miasta Warszawy“ nie ma jeszcze za co stanąć. Lecz nietylko Warszawa, kraj cały, okazał się dziwnie obojętnym na myśl społeczną bardzo szlachetną i pożyteczną. Przez trzy lata złożyć 30,000 rs., przyznacie sami, że to wcale nie wiele. Towarzystwo liczy wprawdzie obecnie 1,700 członków opłacających po 6 rs. składki rocznej, ale potrzeby in-

stytucji w rozwoju zupełnym o wiele przenieść będą dochody, jakiego zapewnić mogło należenie do Towarzystwa nawet 2,000 osób. — maximum, do jakiego instytucya w ciągu lat kilku dojść będzie mogła.

Nad „Zakładem rękodzielniczym dla kobiet“ ustanowiono Radę Nadzorczą. Fakt to dodatniego znaczenia dla zakładu. Widocznie przewodniczący przyszedł do przekonania, że kierunek jednego człowieka, odgradzającego się jeszcze jakimś biurokracym murem od nauczanej rzeszy nie może odpowiedzieć celowi szkoły. Zakład p. Łojki ma więc już teraz nad sobą kontrolę, której staraniem tylko być powinno rozbudzenie jak największej do siebie ufności. Nie wierzymy w to, aby przewodnią myślą szkoły była jakaś filantropia — i nawet nie wymagamy niczego podobnego. Niech p. Łojko pracuje dla zysku, zysku zupełnie godziwego. Niech jednak stara się tak zakładać swój urząd, aby egzystencya jego pożyteczną była dla obu stron nie tylko dla jednej. Z ostatniej pogawędki czytelniczki zapamiętały istnienie pewnych nieprawidłowości w wewnętrznych stosunkach szkoły. Otrzymałyśmy od ośmiu uczennic interesowanych w sprawie, uznanie dla przedstawionego stanu rzeczy. Informacye nasze były najzupełniej zgodne z prawdą, i zaprzeczenia wszelkie będą tylko miały znaczenie usiłowań nadaremnych do przeistoczenia rzeczywistości. Nie sądzimy, aby się ponowić mogły. P. Łojko wszedłszy na drogę kontroli, wszedł zarazem i na drogę jawności: ogłosił krótkie sprawozdanie z kilkomiesięcznej działalności zakładu. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, że przez niecałe pięć miesięcy istnienia uczęszczało ogółem do szkoły praktycznej rzemiosł i handlu 109 kobiet, tak z Warszawy, jakoteż różnych stron kraju. Nie świadczy ta cyfra o na zbyt świetnym stanie zakładu, ale na początek i to dobre: każdy początek trudny. Obecnie jeśli p. Łojko ureguluje zupełnie machinę szkolną swego zakładu i ceny uprzątnie, będzie mógł rami instytucji znacznie rozszerzyć.

„Zjednoczona praca kobiet“, a właściwie zjednoczony kapitał do wyzyskiwania pracy kobiet, tak jak to wykazaliśmy w *Bluszczu* z r. 1872 w dwóch artykułach umyślnie przedmiotowi pracy kobiecej poświęconych, zachwiał się w swym istnieniu. Jedną z założycielek głównych publicznie w „Kuryerze Codziennym“ wystąpienie swoje ze współki konstatuje, a czyni to w tonie żadnej wątpliwości nie zostawiającym co do niewłaściwego kierunku przedsięwzięcia. Szeroce otrąbiona myśl humanitarna zmalała do skromnych rozmiarów spekulacji, jakich tysiące na świecie. Same założycielki i założyciele towarzystwa zapomnieli dziś już zupełnie o owym idealnym balaście, jaki na początek dla podniesienia się w opinii, koniecznie wzięli ze sobą potrzebowali. Siedzą dziś zupełnie cicho i ani w pismach codziennych za pieniądze, ani w „Przeglądzie Tygodniowym“ bezpłatnie nie reklamują.

Warszawie potrzeba bardzo stowarzyszenia pracy kobiecej, ale prawdziwego stowarzyszenia, jakiego zasady rzuciliśmy tutaj przed dwoma laty, a jakie utworzyło się w r. b. we Lwowie. „Zakład p. Łojki“ lub „Praca zjednoczona“, mogą sobie nieszkodliwie istnieć; prawdziwie potrzebom odpowie tylko zespolenie sił i środków materialnych kobiety pracującej na podstawie doskonałej wzajemności i samorządu. Przed miesiącem krążyły jeszcze wieści o krzątaniu się kilku kobiet (a między innymi p. F.....), około zadania, którego urzeczywistnienie przyniesie niezmierny pożytek kobietom biednym, sierotom i matkom sierot, wdowom których nie nauczono pracować w dzieciństwie, a dziś odmawia się im samego prawa do pracy.

## NIEWIASTA POLSKA

### W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Z pamiętników Fryderyka hr. Skarbka. — Pan Stolnik Jarzemski. — Panna Barbara. — Przekleństwo ojcowskie. — Śmierć nagła córki. — Obraz przemawiający. — Wspólna mogiła. — Rozproszenie ziemiańskiego żywiołu. — *Stara panna*. — *Panny Respektowe*. — Upadek wielkiego domu. — Charakterystyka starych panien. — Psy i koty. — Kwiaty i ptaki.

Jeżeli kłątwa kościelna tak straszna i potężna w średnich wiekach, a nawet trwająca w swej potwadze jeszcze do XVII stulecia, straciła na pierwotnym znaczeniu; przekleństwo rodzicielskie miało piorunującą siłę, pozostało nietknięte w swoim majestacie, krusząc najtwardsze serca.

Wierzono, że kłątwa ojca czy matki, prędko się ziści, i za prawdę liczne na potwierdzenie tego przekonania mamy przykłady, nietylko kary na występne dzieci, ale spełnienie się co do słowa tego, co rzucający przekleństwo do własnej osoby zwracał.

Oto, co wyczytujemy w *pamiętniku* Fryderyka hr. Skarbka.

„Nie mogę pominąć (mówi ten znakomity pisarz), okoliczności ożenienia się mojego ojca, z pierwszą żoną, która nie była moją matką.

„Było to w *mazurku*, on miał lat ośmnaście, a ona szesnaście; zajęli się sobą nawzajem, nastąpiły zobopólne oświadczenia bez wiedzy rodziców i bez pośrednictwa swatów, a ponieważ matka narzeczonej zezwolić nie chciała na tak wczesne wydanie córki, a rodzice mego ojca już nie żyli, więc postanowili w następnym *mazurku* wykraść i dać się wykraść, a potem wzięli ślub potajemnie i żyć jak dwoje niedoświadczonych dzieci.

Tak się stało, a zagniewana matka złorzeczając tym dzieciom, wyrzekła nierozważne zaklęcie:

„*Niech mnie psy zjedzą, jeżeli kiedy w ich domu postaną!*“

A dom ten był tylko o kilka mil odległy.

Krewni i przyjaciele nie mogąc być obojętnymi świadkami takiego rozdwojenia między matką i córką, usiłowali przywrócić zgodę, sprowadzić córkę z zięciem do swej matki, i tak się stało, że prześlągana, przyrzekła przepędzić nadchodzące święta Wielkanocne u dzieci w *Izbicy* na Kujawach, dziecięcych niegdy dobrach rodziny mojej.

„Dotrzymując danego słowa, wybrała się w podróż na początku *wielkiego tygodnia*; w drodze pęka os; stary woźnica ostrzegł że nie należało podejmować tej podróży, po fatalnym zaklęciu w pierwszym gniewie wyrzeczonym. Nie zawróciła jednak matka, i zajechała w *wielką środę* do domu ojca mego, gdzie sproszeni goście, na pożądane jej przybycie oczekiwali.

Przy kolacji ojciec mój wznosi kolejnym kielichem jej zdrowie, i gdy go do ust niesie, ten pęka, tłucze się nie wiedząc jakim sposobem i wino się na stół wylewa, nie bez mocnego wrażenia na wszystkich, a zwłaszcza na matce *pod zaklęciem* będącej. Tej samej nocy, czuje się ona słaba, z rana wzmaga się choroba, wieczorem nazajutrz umiera nagle.

Święta Wielkanocne miały być świetnie i wystawnie obchodzone. Sute święcone zastawione już było na wielkiej sali, mającej drzwi szklane na ogród wychodzące. Trzeba było zmienić przeznaczenie tej sali, zamiast stołów, ustawić w niej katafalk, a nim to nastąpi, złożyć temczasowo zwłoki zmarłej. — W jednych drzwiach była szyba wybita, którą już poprzedniej nocy zwidziały się psy do sali, zapowiadającej im przysmaki niezwykłe: tą szymbą zakradły się następnej nocy, gdy już ciało martwe leżało i dziwnym zrzędzeniem najwyższej woli, wygryzły policzek nieboszcze, nim pilnująca babka kościelna, zdołała zapobiedz temu.

„Spełniło się zaklęcie, a w rodzinie naszej został na zawsze wstręt od podobnych nierozważnych wyrażań, zarzekaniem się lub klątwą będących!“

Wypadek w rodzinie Skarbków przypomina równoczesne zdarzenia dosyć liczne, prędkiego spełnienia się klątwy rodzicielskiej na dzieciach. W *Silva-Rerum* z początku naszego stulecia czytamy o smutnym wypadku u *Jarzemskich* na Mazowszu.

Ojciec *pan Stolnik*, bo tytuły dawne rzeczypospolitej szlachta zachowywała starannie, miał dwoje dzieci, syna i córkę. Syn o kilkanaście lat starszy od siostry, wyposażony dostatnio, osiadł na Litwie, pojawiając żonę z bogatym wianem; córka pod opieką siostrzycy matki chowana, doszła do lat dwunastu, gdy osieroconą została, bo zaćma niewiasta, po krótkiej chorobie umarła.

Kończąc pielgrzymkę ziemską z całą przytomnością umysłu, wezwała męża, zaklinając go, ażeby dla jej biednego *kwiatka*, jak nazywała swą jedynaczkę, był miłościwym, a teraz jako sierotce zastępował i matkę. *Stolnik*, płacząc przy łożu umierającej przyrzekł to konającej małżonce.

*Panna Barbara*, wyglądała rzeczywiście jak świeży kwiat; rumieniec żywy krasiał jej powabne oblicze; z oczu czarnych tryskało życie—cała postać była tak zgrabna i ujmująca, że sam ojciec w przystępie dobrego humoru, nazywał ją „*piękną sarneczką*“.

Po roku żałoby, wywiózł ją do Warszawy i umieścił w sławnej na owe czasy pensji panien *panny Peter*. Tu po trzech latach pobytu przy dobrych początkach, jakie pod okiem swej czulej matki otrzymała, ukończyła nauki i wróciła do rodzinnego ogniska.

*Panna Barbara* po stracie żony osowiały, po odjeździe córki do Warszawy w częsty zapadał smutek i w swej samotności zdziwaczał. Wiek też sędziwy, bo liczył lat siedemdziesiąt z górą, nacisnął go ze swemi ułomnościami.

*Panna Barbara* za powrotem z miasta, wkrótce objęła w domu rzadki niewieściego gospodarstwa; ożywił się dwór samotny, i coraz więcej zaglądało gości do *pana Stolnika* w każdą prawie niedzielę i święta. *Panna* powabna i posażna, a przytem dobrze wykształcona, znalazła prędko liczne grono wielbicieli, co zapragnęli jej ręki. Ale ojciec nie nie mówiąc swej córce, już o przyszłości jej postanowił.

W sąsiedztwie miał na oku bogatego szlachcica, liczącego przeszło lat pięćdziesiąt, wdowca, z dwojgiem dzieci, a syna swego przyjaciela; był to człowiek poważny, szanowany powszechnie, ale nieodpowiedni ani wiekiem, ani obejściem swoim dla młodej i żywej *panny Barbary*. Ciche wieści obiegały, że oddała swe serce jednemu z młodych, przystojnych sąsiadów, który po małych dzierżawach w okolicy chodził.

*Stolnik*, postanowiwszy sobie związek małżeński ułożony doprowadzić do skutku, przywołał córkę, i objawił jej swoją wolę. Córka padła mu do nóg, błagała go o litość, a w końcu wyznała swą miłość tajemną.

Ta otwartość dziecięcia nie skutkowałą, ojciec pokazał się niewzruszonym, naznaczył zapowiedzi i dzień ślubu.

Kiedy licznych zaprosił gości na zaręczyny, *panna Barbara*, weszła blada jak lilia, ledwie mogąc stąpać drobnymi nóżkami. Przyjęcie było w wielkiej sali, gdzie na ścianie wśród licznych portretów antenatów, wisi wizerunek jej matki, na kilka lat przed zgonem malowany. Gdy proboszcz miejscowy po poświęceniu pierścionków, zabierał się do włożenia jednego na palec *panny Barbary*, ta ze wstrętem rzuciła go na ziemię, oświadczając, że nigdy nie kłamała, bo matka uczyła ją iść drogą prawdy, że szanuje *pana sąsiada*, ale żonę jego nie będzie, bo serce innemu oddała i wierną mu pozostanie. Na te słowa stanowczo wypowiedziane, zerwał się w uniesieniu *pan Stolnik* i zawołał gniewnym głosem:

— Posłuszeństwo woli ojca, albo przekleństwo!

Córka słysząc to, potraciwszy nogą nienawistny pierścień, padła na kolana przed obrazem swej matki, a składając jak do modlitwy drżące rączęta, zawołała z płaczem...

— O moja droga, kochana matucho! święta paronko moja, ratuj mnie nieszczęśliwą!

Ojciec, uniesiony takim uporem wykrzyknął zmienionym głosem:

— A więc przeklinam cię nieposłuszne dziecko, niech cię!...

Dalej mówić nie mógł, bo w tejsze chwili krzyk przerażenia zagłuszył jego dalsze słowa: córka padła trupem—serce w niej pękło.

Goście i krewniacy z przestrachem spiesznie dwór ten opuścili, narzeczony wraz z niemi natychmiast odjechał, został się *Stolnik* sam z trupem swej córki i sędziwy miejscowy proboszcz.

Na trzeci dzień odbył się pogrzeb biednego dziecięcia z dworu na cmentarzyk parafialny. Nikt z obcych nie przybył, tylko za trumną szedł z odkrytą głową zmieniony nie do poznania *Stolnik* wspierając się pierwszy raz w życiu na lasce, i młodzieniec w żalobie; był to ten, którego ukochała i wierną mu została.

Domownicy utrzymywali, że gdy zmarła panienczka padła na kolana przed wizerunkiem swej matki i wzywała jej pomocy, oczy nieboszczki pani w obrazie odżyły, patrzyły z dawną miłością na swą jedynaczkę, usta się poruszyły, bliżsi słyszeli nawet jak przemówiła niemi z cicha...

— Chodź do mnie dziecię kochane, na moje łono, gdy twój ojciec nie miłościw!

Słowa te niebacznie powtórzone doszły do uszu *Stolnika*, był to grom dla niego gniewu Bożego, bo przypomniał sobie, że nie dotrzymał danego przyrzeczenia swej ukochanej małżonce przy łożu śmiertelnym; zachorzał ciężko, i w rok niespełna, spoczął w grobie przy kościółku wiejskim, obok swej żony i córki.

Żywił ziemiański który stanowił przewagę w kraju i rozsiedlony był głównie po dworach wiejskich, w pierwszych latach naszego okresu (od 1807 do 1830 roku) rozprasza się i do miast napływa. Ztąd też typowe postacie niewiasty polskiej jakie widzieliśmy w ostatnim wieku, wyłącznie tylko w starych modrzewiowych dworach, teraz oglądamy i w miejskich murach, ale w pierwszych pozostaje ich przeważna liczba, dopóki szlachta ceniła własne gniazda rodzinne, strzegąc pilnie jako drogą relikwię, ojcowiznę w ziemi. Nie wina to niewiasty polskiej, że nagle opustoszały te odwieczne ich siedziby, i już w pierwszej połowie obecnego stulecia, stare rody ziemiańskie pomarniały, a w ich miejsce osiedliły się obce, nieraz cudzoziemskie.

W tej dobie ostatecznym celem życia wszystkich jednostek naszej społeczności tak męzkich, jak żeńskich było małżeństwo: *stara panna* w szlacheckim stanie należała do osobliwości i ztąd nie dziwota, że wady, jakie się pomiędzy takimi pannami odbijały stale, były celem posmiewiska. Do rzędu tego nie należą bynajmniej *dziewice-wdowy*. Największą liczbę *starych panien* dostarczały dwory upadłe magnatów polskich.

W czasach, gdy była zamożność i bogactwo, *Pani* otaczała się liczną drużyną młodych córek szlacheckich domów, które pod imieniem *panien respektowych*, odbierały na wielkim dworze wykształcenie, pozyskiwały zarazem łatwość znalezienia dla siebie męża, bo młoda szlachta ubiegała się o rękę takich panien, które ogląda i wzięciem się uprzemmem w towarzystwie odznaczały, a nigdy *państwo* takiej wychowanki nie wypuszczali od siebie inaczej, jak z *wyprawą*, często z przyzwitoim wianem, sprawiając swoim nadto kosztem huczne gody weselne.

Nie zagrzewały też długo miejsca na dworze *panny respektowe*; po dwóch, trzech, najwięcej po czterech latach, już wychodziły za mąż, i chyba tylko za nadto przebiegająca w zalotnikach osiadała na koszu.

Gdy od połowy XVIII wieku upadek wielkich domów przybrał ogromne rozmiary, tak *dworzanie* jak *panny respektowe*, co nie miały rodziny, albo też będące w ostatecznej nędzy, rozbiegły się po szerokiemi świecie, szukając łaskawego przytuliska dla siebie, to w dworach zamożniejszych ziemian, na wsi, to przy rodzinach obywatelskich po miastach osiadłych.

Biedne te istoty, zepchnięte nagle z dawnego stanowiska swego, jakie zajmowały na dworze *wielkiej pani*, gdzie wśród wygody i dostatku żyjąc, doznawały całej przyjemności swobodnego bytu, wśród ciągłych zabaw i rozrywek, w których zawsze brały

nie mały udział: traciły do razu wszystkie widoki swojej przyszłości, nadzieje i marzenia, i jak uderzeniem piorunu ogłuszone, bezprzytomne, spoglądały z rozpaczą na los niespodziewany, który ich dobrodziejów w taką przepaść wtrącił, że z niej już nigdy podnieść się nie byli w stanie.

Z rozbiegłej tej drużyny, młodsze, w kwiecie wieku, pomimo ubóstwa swego, braku wyprawy i wiana, znajdowały mężów, bo je otaczał urok zawsze nazwiska *Panny Respektowej*, który miał długo jeszcze znaczenie w społeczności naszej; ale starsze wiekiem, doświadczone dwórki, chociaż zasobniejsze i w wyprawę i posażek, trudne do wyboru pomiędzy *konkurentami*, gdy zatraciły właściwą porę w życiu kobiety do zmiany stanu panińskiego na małżeński, zwykle przechodziły pod sztandar *starych panien*; a trzeba wiedzieć, że w ową porę liczono mającą lat dwadzieścia ośm do młodych, po trzydziestu do odpowiednich na kobierzec ślubny, a po czterdziestu dopiero, do takich, którym już nie nie pozostało wedle dawnego przysłowia: „*jak siac rutkę na starość*“.

Takie *stare panny* miały wspólne wady, które stanowiły wybitną ich charakterystykę. Każdej zaczynały się choroby od bólu zębów, co w owe czasy było osobliwością, bo całe pokolenie męskie i żeńskie odznaczało się w ogóle zarówno pięknymi jak zdrowymi zębami. Gdy ten ból dojmował, podwiązywały twarz chusteczką dobrze pachnącym szafranem na żółto ufarbowaną; taką chusteczką okrywały szyję, piersi i czoło, gdyż szafrań miał mieć moc i własność nie tylko utrzymywania długo gładkości i białości ciała, ale chronił od zmarszczek, które coraz gęściej u starych panien nagle się ukazywały, wywołując ich przestach, zdumienie, a nieraz i cichą rozpacz!

Nabierały dziwacznych usposobień; ze szczególną miłością zwracały się do psów i kotów, mniej do ptaków i kwiatów. Te, które chodowały psy i koty, nieodłącznie były wielomówne, z zapalem oddając się plotkom, które w niejedną rodzinę wnosiły nie tylko niepokój, ale ciężką zgryzotę, zanim się cała ich fałsz pokazała. Te zaś co lubiły kwiaty i ptaszki, odznaczały się łagodniejszą naturą, cichem usposobieniem, jak potulną rezygnacją.—Pierwsze wpadały w bigoteryę i dewocyę, drugie pozostały przy prawdziwej a czystej chrześcijańskiej pobożności.

Zewnętrznie się nawet, a bardzo wydatnie różniły te dwa gatunki *starych panien*; pierwsze z psami i kotami prędko wędły, płęć ich żółkła, zjadliwość się na wychudzonych twarzach odbijała, a rachując dzień każdy, za chwilę długą goryczy, znieść nie mogły młodych panien a pięknych, zarówno jak powabnych mężatek; checiwie chwytaly zasłyszane plotki uwłaczające ich dobrej sławie, albo je same z umysłu tworzyły; było ich uciechą i rozrywką nie lada pokłócić małżeństwo — rozkoszą zmusić je do rozłączenia.

I młode a dorodne panny równie były celem ich nienawiści, bo przy nich żaden z mężczyzn na nie nawet nie spojrzal, chyba, jeżeli pokrewieństwo blizkie łączyło którą z wybraną bogdanką, i potrzeba było użyć jej wpływu i pomocy, dla łatwiejszego otrzymania ręki ukochanej.

Namiętnie zajmowały się układaniem z kart *Kabaly*, z której wróżyły dla siebie pomyslną dolę w bliższej przyszłości; celem zaś ich jedynym i pragnieniem duszy, wyłączną myślą był mąż, i to zawsze, im która była starszą wiekiem, tem bardziej o młodszym marzyła.

Nasz genialny komedyopisarz Aleksander hr. Fredro, taką właśnie typową postać *starej panny* z okresu o którym mówimy, przedstawił w osobie *panny Małgorzaty* w wybornej komedii p. n. *Ciotunia*.

Podtusiały *Szambelan*, z czasów Stanisława Augusta, wypudrowany, udaje dla niej miłość, ażeby z dostatniego jej mienia żyć wygodnie i smacznych obiadków nie utracić; ale stara *Małgorzata*, nie odrzucając jego zalotów na prawdę, wzdycha do urodzonego i młodego *Edmunda*. Korzysta z dobrej sposobności (*Akt II, scena I*) i pomimo pozorów skromności sama spowiada się ze swych uczuć i marzeń.

„Ach! nie takiego męża chciała moja dusza, którego włos zrzedzony czas pudrem przyprusza, którego krok chwiejący jak z długiej podróży. Mimo częstych podrygów chęć spoczynku wróży;

Co nad przeszłość innego nie dając dowodu,  
Jest jakby własny portret malowany z młodu,  
Lecz takiego, którego usta jak korale,  
Latwo miłość wrażliwą nie głosząc jej wcale;  
Który życia zarzewiem, przez palące oko  
Lamie wszelkie zapory,  
(wskazując na serce)

tu sięga głęboko,  
Wdzięczny, młody, co serca pociąga do siebie,  
Jak nam malują Bogów, lub jak widzę ciebie“.

Drugą typową także postać tego gatunku panien, przedstawia nam Józef Korzeniowski w *Fannie Agnieszce*, w komedii: *Stary mąż*.

! Nie umiejąc znaleźć poważnego stanowiska dla siebie i zająć się pożyteczną pracą, w próżniactwie, to siedząc nad *kabala*, to zajmując się plotkami, czas daremnie marnotrawiła. Mniej dbała o staranność w ubiorze swoim, i o schludność około siebie, co taki powab w niewieście stanowi, coraz się wstrętniejszą stawała, nie bacząc, że zgrzybiała i niedołączna starość, już na próg jej życia wstępowała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## HISTORYA

### O JANASZU KORCZAKU

#### I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Od tej pory człowieka, ani zwierza, ani mieszkania ludzkiego już nie spotkali. Kilka spalonych węglów i osmalonych kominów stały nad drogą. Na jednym takim rumowisku popasać musieli, korzystając z tego, że w bliskości dobra dla koni była woda i pasza, bo o sianie już i mowy nie było.

Kraj jednak dziwnie był piękny, jakby na ludzi czekał z bogactwami swojemi. Wszystko rosło bujnie, wysoko, gęsto. Ale dawniej uprawne pola leżały odłogami, a wśród nich ledwie gdzie zdziczałe żyto co się samo siało, dawało świadectwo o przeszłości. Na wzgórzach widać było czasem nagie siany zamków obalonych, które chwasty i zarośla na pół okrywały.

Ku wieczorowi droga, którą Sieniuta prowadził, wcisnęła się między góry i wąwozy. Rzadko gdzie zazieleniała dolina. Dębina krzywa pokrywała wzgórze i zarośla tak gęsto, że oko o krok nie dopatrzeć nie mogło.

Janaszek jechał już teraz z Sieniutą, bo przy powozie miejsca nie było. Czasami tylko dobiegł do drzewczek, aby coś powiedzieć, o coś spytać, w oczy spojrzeć Jadzi, i z nich odgadnąć, czy czego nie pragnie. Dziewczę ciągle główkę wychylało dziwiąc się bożemu światu. Wieczór był złociście piękny, niebo jasne, a gdzie promień padł słoneczny jakby złotogłowiem wysłał drogę. Nad drogą — choć późna jesień była, gdzieniegdzie spóźniony kwiatek oczy i ręce nęcił. Stał jakby zdziwiony w pośród łądyg suchych, gość nieproszony a smutny. Niektóre drzewa jeszcze były zielone, inne żółte, inne rumiane, na niewielu wiatr zimny wysuszył liście i otrząsł. Wśród tej ciszy, gdy powóz się zatrzymał, aby obmyśleć jaką przeprawę, słychać było szmer strumieni, które z gór, bełkocząc, płynęły spienione w dolinę.

Sieniuta jechał rozglądając się bacznie z powagą hetmańską, którą starej krwi swej przypisywał; za nim Janaszek oczyma biegając ciekawymi po górach. Ludzie nie śmieli się odzywać, ale wielce się im ten piękny kraj pustynny, z jego drogami piekielnymi kłać chciało. Książę Żudra na wozie, dobywszy brewiarz pacierza odmawiał, a Boga wielbił. Na drugim Franka, jedyna niewiasta do posług wzięta,

którą ciągle rozbójnikami straszono, z trwogi, blada, ręce łamała.

Godzinę się już tak coraz ciemniejszymi wąwozami wleczono, słońce skryło się za górami, choć jeszcze nie było zaszło, zaczynało się robić ciemno, i Sieniuta dla złych dróg radził pospieszać.

Miecznikowa widząc się już niemal u portu, tryumfowała potrosze, że się próżnym strachom odwieźdź od swego zamiaru nie dała. — Gródka tylko co nie było widać.

Jadzie bawiło wszystko, a wiele rzeczy zdały się jej całkiem nowymi. Kraj w istocie całe różną przybierał postać; aż do skał i kamieni nieznanne to były istoty.

Zmierch padał, gdy Janaszek do drzwi przyskoczył, że wawóz ostatni się kończy, i że zamek gródki za chwilę zobaczą.

Nie było już sposobu miecznikowej i Jadzi w powozie utrzymać, którego firanki widok zasłaniały. Kazały stanąć i wysiadły. W istocie wawóz szeroko otwarty, dozwalał spojrzeć na ciasną dolinę, wśród której na cyplu, oświecony odbłaskiem łuny zachodniej, szary zameczek się wznosił.

Miecznikowa odmawiała modlitwę dziękczynną. Jadzia także. Oczy jej promieniały.

Znać się jednak po zamku czegoś innego spodziewać musiała, wydał się jej ponurą ruiną, be szepnęła matce.

— Dzikie to — matuniu i — smutne.... Jeszcze nędziej od zamku wydawało się miasteczko ze swemi domowstwami z chróstu i gliny i karczmannami, pozapadanymi w ziemię. Wszyscy ludzie patrzyli też na zamek ciekawie, ale nie wesołymi oczyma. W istocie podobny był do niemieszkalnej ruiny. Z jednego kominu trochę się dymu wiło do góry.

Powozy i konie stały tak chwilę, wydobywając się z wawoza, aż Sieniuta zakomenderował, że czas jechać, bo mrok potem nagle chwyci. W istocie, im niebo czyściejsze, a chmur mniej, które, jak zwierciadła, resztki światła dłużej ku ziemi odbijają, tem noc nadchodzi naglej. Ruszyli więc powoli, bo już nie było pół godziny drogi do zamku.

Miasteczko coraz wyraźniej się pokazywało. W niektórych oknach czerwone zabłyskiwały światła. Już się ku niemu zbliżali, gdy pędem na koniu nadbiegł jeździec. Zbliżył się ku powozowi, czapkę do góry uniósł i okrzykiem radosnym witał. Był to Nikita, który zdała u wawoza dostrzegłszy kawalkadę, konia dosiadł i wybiegł panią powitać. Okrzykiem też go przywitała Miecznikowa.

— Jest gdzie przenocować? — zapytała.

Nikita ramionami ruszył.

— A juścić — rzekł — ale nie na gody pani tu jedzie, a no, o tem potem, dobrze że szczęśliwie i zdrowo.

Pocałował w rękę. — Jeszcze z panem Janaszem słówko mam do pogadania.

I odbiegłszy na konia siadł, aby przodem jadąc — go dognać.

Sieniuta z samopalem u siodła składał straż przednią, można więc było rozmówić się swobodnie. Janaszka lubili wszyscy.

— Paniczu — szepnął, doganiając go Nikita — długo by gadać, com ja tu zastał, powiem jednym słowem: źle się święci, trzeba się mieć dzień i noc na baczności i z oka nie spuszczać Dorszaka.

— Już nas po troszę uprzedzono — rzekł Janaszek — ale ja serca przez to nie tracę... Zamek ty znasz dobrze?

— Wszystkie kąty schodziłem, w każdą dziurę zajrzałem — rzekł Nikita.

— Ludzi on tam swoich dużo ma? — pytał Korczak.

— Tego tam niema co i liczyć, ale z kim on się wacha, Bóg jeden wie. Zamek dwojaki: dolny i górny. Oprócz kolebki i koni, które muszą bodaj zostać na dolnym, nam ani popasać, tylko wszystkim górny zając samym i nikogo tam więcej nie puszczać. Prawda, że się wrota nie zamykają, ale ja je opatrzył, jak my się weźmiemy do nich, muszą się zawrzeć.

— Nie odchodź — ode mnie i bądź mi do pomocy — szepnął Janaszek — na ciebie liczę, jak na siebie samego.

— O! musimy się krzepko trzymać, chcemy-li wyjść cało — mruknął Nikita. — Dorszak nie głupi, będzie pewno pani nadskakiwał i udawał wierne go sługę, ale panią ostrzedz należy.

— Oh! oh! — rzekł Janaszek — odgadnie ona go przez skórę...

Tak rozmawiając zbliżali się do miasteczka, a że z niego na dolinę był widok odkryty i ludzie powozy łatwo dojrżeli, wysypała się cała ludność na targowicę. Zbierana to była drużyna, po większej części osiedlone włóczęgi: wołochy, rusiny, ormianie, niewiadomego pochodzenia ludzie, powierzchowności dzikiej i niewiele uderzającej. Stali w koszulach, w narzuconych na ramionach świtach, w kurtach, jedni z głowami pogolonemi, drudzy z włosami długimi na ramionach, jedni z odkrytymi, drudzy w czapkach baranich i krymkach tatarskich, dzikimi patrząc oczyma, ponuro i groźnie. Przed karczmannami stali żydzi, żydówki i dzieci.

Miecznikowa i Jadzia spoglądały z ciekawością. Powóz zwolna sunął się ku mostowi zamkowemu. Tu dojechawszy, Nikita skoczył radząc pani, aby wysiadła, bo most był nie bardzo pewny i życzył też konie przeprowadzić, a kolebkę przepchnąć. Z drugiej strony, za mostem, już widać było Dorszaka, który, choć mu się twarz od złości i gniewu krzywiła, stał ubrany paradnie — żupanik jedwabny, kontusz czarny aksamitny, szabla u boku, żółte buty, czapka pod pachą — a na rękę trzymał na półmisku chleb i sól.

Starał się widocznie przybrać jak najłagodniejszą twarz, jak najpokorniejszą postawę. Niewiadomo czy sama z siebie, czy z jego rozkazu, wyszła też i stała po za nim pani Dorszakowa w czarnej sukni i kaftaniku tureckim, głowa jedwabną piękną chustką zawinięta. Twarz jej wschodniego typu, mimo wynędznienia uderzała dumnymi resztkami dawnego wdzięku. Po za niemi parobcy, Tatiana, dziewczę małe, cała nędzna załoga zamkowa.

Miecznikowa, która nigdy Dorszaka nie widziała, zdała już idąc, przypatrywać mu się zaczęła bacznie. Nie podobała się jej twarz, ale tego po sobie znać nie dała, owszem wesoły przybrała wyraz. Jadzia spoglądała na mury, ludzie przypatrywali się też ciekawie tej ruinie. Wszyscy zaraz z siodła skoczyli i szli pieszo konie prowadząc. Dorszak, choć najwięcej się wpatrywał w Miecznikową, liczył też siły jej towarzyszące i ludziom się przypatrywał. Marsowe i spokojne oblicza, nie zbyt mu się pewnie podobały. Piękny Janaszek idący przodem, kilka razy zwrócił na siebie jego oko. Znać w nim było dowódę.

Przestroga Nikity okazała się bardzo dobrą, gdyż most pod ciężarem kolebki uginać i chwiać się począł, konie i ludzi przeprowadzono też z osobna.

Gdy się pani Zboińska zbliżyła do Podstarościego, ten postąpił kilka kroków na powitanie.

— Wielkie to i niespodziewane dla nas szczęście, że do nas jasna pani zawitać raczyła — rzekł z wymuszonym uśmiechem — daj Boże, abysmy ją tylko dobrze przyjąć mogli.

— Aby dobrem sercem, ja na resztę zważać nie będę — odezwała się Miecznikowa — nawykłam do wszystkiego. Prowadź nas, panie Dorszak, na górny zameczek.

Zdziwił się i zwrócił aż, posłyszawszy o górnym, pan Dorszak nie sądził, aby tak Miecznikowa już oświadczoną była.

— Al! proszę jaśnie pani, to pustka! Ja bym życzył u nas na dolnym się rozłożyć, tam będzie nie wygodnie, bo to od wieków nie zamieszkał i... to tam tylko szczerzy, nietoperze i puchacz.

Janaszek spojrzawszy oczyma dając znać, aby Miecznikowa stała przy swoim, a ta dodała wnet:

— My sobie z niemi radę damy, ja Wacpaństwu — rzekła, kłaniając się żonie Dorszaka, która ją pozdrowiła — ja Wacpaństwu nie chcę być zawadą i wolę tam być sama ze swoim dworem.

— Pani tego pożąduje — przerwał Dorszak — to rudera są...

Nie było na to odpowiedzi, weszli właśnie w pierwsze podwórce, które też nie bardzo świeżo wyglądało. Budynek w głębi tak zakrywał wnijście na górny zameczek, że aż Jadwisia spytała:

— A którą drogą dalej?

— Otóż to, proszę jaśnie pani — rzekł Dorszak — że tu nawet dostać się na górny zamek trudno, a co dopiero tam żyć.

Nikita wyrwał się przodem, pokazując drogę, szli więc wszyscy za nim, szedł i Dorszak, ale widocznie gniewny, pod nosem mrucając.

Kolebkę kazano wypakowywać na pierwszym

dziedzińcu i rzeczy znosić na górę. Podstarośći sprobował jeszcze nawrócić Janasza, w którym się domyślał dowódcy, lecz chłopak odparł mu od razu, że wola Miecznikowej spełnić się musi.

— No, to ja za nic nie odpowiadam — krzyknął Dorszak — jak mi Bóg miły, tam i dach na głowy się obalić gotów, ale co mnie do tego.

Ciasnym przejściem po za budynkiem szły obie kobiety, po kamieniach i ostach, co w Jadzi podskakującej śmiech i wesołość obudzało. Doszli tak do wrót i spojrzeli na starą wieżę.

— A! — odezwała się pani Zboińska — jeszcze to nie tak bardzo źle wygląda.

Drzwi stały otworem. Nikita już tam się, jak umiał, zagospodarował. Pełniąc rozkazy pani, chciał koniecznie wieżę wyporządzić, do czego Dorszak, złoścąc się, wszelkiej odmówił pomocy, a ze swej strony przygotowywał obok siebie pokoje. Nikita, który klócić się nie chciał, najął sobie ludzi z miasteczka, sprzęt pobierał u Żydów, wyszorować go kazał i jako tako wieżę zagospodarował. Smutne to było, lecz z biedy, na krótki czas, za przytulisko służyć mogło.

Miecznikowa nie mówiła nic. Jadzia biegła przodem, dziwując się pięknemu widokowi z tej wyżyny. W istocie okryte lasami góry, zielone łąki, rzeczka płynąca po skałach, szare gdzieś niegdzie ściany głazów, mimo wieczornego mroku, stanowiły krajobraz bardzo wdzięczny. Lecz rozpatrywać się w nim nie było czasu. Nikita już izby poprzeczkał w myśli dla dworu i czeladzi. Dół zajmować miały kuchnię i straż. Szli tedy na górę. Dorszak chmurny nie mówił nic.

Pierwsze piętro jako tako obmyte, oczyszczone, opatrzone w ławy i stoły, z ogniem na kominach, nie przeraziło bardzo przybyłych. Zaszyły kobiety aż do kaplicy, gdzie Nikita też o ile umiał, trochę zrobił porządku. Nawet obraz rozdarty, który wisiał na pół, przybił, obmył i okazał się Chrystus na krzyżu, starego greckiego znać malowania, a pod nim Jan S-ty i Matka Boża. Nie było to pewnie areydzioło sztuki, lecz wielka idea ofiary biła i z tego starego obrazu i wszysey przed nim na modlitwę poklekli. Ksiądz Żudra przesunawszy się na przód, zajął swe miejsce na wschodku i litaniją odmawiać począł głośno.

Mrok wdzierający się przez szyby wąskich okien, nadawał tej scenie nieprzygotowanej, dziwnej, charakter poważny i tajemniczy. Podróźni ci w ubraniach pyłem okrytych, w ubiorach zmiętych, z twarzami zmęczonemi, rozpoczęli życie na pustkowiu tem u kresów, od modlitwy.

Dorszak nie wchodzić do kapliczki za niemi, bo ledwie kilka osób pomieścić mogła, zdała od progu, przypatrywał się z twarzą chmurną i posępną.

Dopiero po ukończeniu litanii, wstawszy, Miecznikowa się odezwała do Podstarościego:

— Widzisz waszmość, nie jest tu tak źle, a jeszcze i kapliczka w dodatku. Jutro nam ksiądz Żudra będzie mógł Mszę świętą odprawić, bo *portatil* z sobą mamy, jeśli go tu nie znajdziemy.

Wrócili więc znowu do wielkiej izby, gdzie już szybko, pod dozorem Nikity, znoszono rzeczy, tłómoki i kufry. Janasz pobiegł na dół zamek oglądać i ludźmi rozporządzić. Sieniuta też był czynny.

Dorszak jakiś czas stał niby na rozkazy wyciekując, bąkając ni to ni owo, wreszcie zobaczywszy, iż się bez niego rozporządzają i obchodzą łatwo, wybiegł gniewny. Postrzegł już był wprzód Sieniutę między dworem, ale sobie tylko w oczy popatrzyli i Dorszak brwi ściągnął strasznie. Teraz zbliższy na dół, znalazł go na krętych nogach stojącego u drzwi, jak na straży i kręcącego wasa.

— A waszmości tu jakie licho przyniosło i po co? żeby więcej gęb do żywienia na zamku było? — krzyknął na pół żartobliwie.

— Ale tego — odehrząknął Sieniuta weale nie zmieszany przywitaniem — nie czyni to ujmy honorowi szlacheckiemu i krwi, mosanie, Sieniutów, iż pod czas jestem we dworze JW. Miecznikowej. Ot co!

Dorszak ramionami ruszając, zbliżył mu się niemal do ucha.

— Kat cię tu wniósł! stary wygo — rzekł sierdzisto — pewnieś tam paplał... a no... byleś tego nie żałował...

Pogroził mu na nosie.

— Mosanie, ten — rzekł nieulekniomy Sieniuta —

kto ma czyste sumienie, ten się języków nie lęka, a jam nie dziecko, aby mnie kto nauki dawał.

Dorszak słuchał jednym uchem, a drugie zdawał się niespokojnie nastawiać, bo Janasz już rozkazy wydawał, co do koni i ludzi, a właśnie się do nich przybliżał.

Namarszczył brwi.

— Za pozwoleniem — wtrącił — ja tu nie wiem, co za rolę będę grał! Myślałem, że rozporządzenia należą do mnie, albo że się ze mną choć rozgadacie, a widzę, że ja tu na gracyalistę wyjdę. Kto tu z nas rządzi?

Janasz mu się lekko skłonił.

— Na teraz — rzekł — dopóki pani Miecznikowa na zamku, ja jestem z ręki Miecznika dowódcą i ja sam rozkazuję.

Dorszak zczerwieniał cały.

— Dobrze wiedzieć — odparł krótko. Wnet jakby się namyśliwszy i spojrzawszy na młokosa zlągodniał znowu.

— No, niema tu tak dalece co robić — rzekł — chodźcie do mojej żonki, wypoczniecie u nas, dereśniak mam sławny. Ludzie sobie rady dadzą, jest tu ten wszędobylski Nikita, to i dosyć.

— Bardzo panu za gościnność dziękuję — wesoło odezwał się Janasz — ale dziś niema czasu, muszę sam dopilnować wszystkiego, ludziom stanowiska oznaczyć, konie pomieścić, broń opatrzyć.

— Oj! oj! a cóż to, wojna! — rozśmiał się Dorszak — po co tu tak wielkie ostrożności. Cha! cha!

— A no, nie zawadzi ludzi czujnymi trzymać — rzekł Janasz — u nas w drodze taki zwyczaj. Darujesz Waszmość.

Skłonił się i odszedł, bo Nikita mu znaki dawał. Dorszak stał jak wkuty, chciał zda się odejść i nie mógł, patrzył za odchodzącym, a po chwili zwrócił się do Sieniuty.

— Co to za jeden? — spytał.

— To, słyszę wychowanek i faworyt Miecznika, tęgii — ale tego, mosanie, chłop i pałka zdrowa i reka silna.

Pokiwał głową, poprawił czapki.

— A waszmość, panie Sieniuta, na dereźniaczek do mojej baby.

— Bóg zapłać, ja też mam moje funkeye, dziękuję.

Dorszak się zakręcił — niespokojny. Mrok coraz silniejszy padał. Żapalono w zacisznych przymurkach pochodnie, a służba się ciągle krzątała. Podstarośći zdawał się ich oczami liczyć, a usta mu się skrzywiły jakby na śmiech, gdy postrzegł broń i amunicję które z wozów znoszono na dół do wieży. Kiwał głową, potem krokiem powolnym, pościągł na pierwsze podwórze. Miał już bramę przechodzić, gdy trafił właśnie na to, jak się z nią i ze starami zawiasami mocowali ludzie, usiłując ją zamknąć. Nikita i Janasz stali przy tem. Dorszak się śmiać począł mocno i stanął.

— Cóż to jest? po co? na co? pół wieku się te wrota nie zamykały, jeszcze komu na kark się obala i przybijają! Wrota są w pierwszym dziedzińcu, po coż te?

Nikita nie odpowiedział nic. Janasz także, ludzie dalej swoje robili.

— Ale to boki zrywać! mówił Dorszak, co wam się śni? tu żadnego niebezpieczeństwa nie ma? po co śmiech z siebie robicie?

— A co wam to szkodzi? — odparł Janasz spokojnie.

Widząc że już tu ich nie przemoże — Podstarośćie rzucił jakieś przekleństwo pół cicho i poszedł do mieszkania. Wszedł do izby drzwiami rzucając. Żonę już zastał na sofie jak zawsze. Nie chętnie z nią rozmawiał, tym razem jednak ze ścianami by się był wdał w rozmowę, tak w piersi miał pełno.

— Poszaleli ci ludzie! krzyknął to ten Sieniuta musiał im nagadać. Ledwie mi głową Miecznikowa kiwnęła, a gadać prawie nie chce i sami tu się rozporządzają, jak we własnym domu. Ale ja tego nie ścierpię.

— Mileżałbyś — odezwała się Agafia — dosyć było twojego panowania.

— Jeszcze to nie koniec! syknął Dorszak, zobaczemy, niech się sztyftują jak chcą... kanalije...

Żona śmiać się zaczęła, co go jeszcze większym gniewem napełniło. Nie mówił nic tak aby go zrozumieć było można, mruzczał i chrapał jak zwierz rozłozszony, niekiedy pięść wyciągając ku górze,

To znowu oknem wyglądał na krzątających się ludzi, którzy nie pytając go, przestawiali, nosili, zabierali, łamali jedno, ustawiali drugie.

Parobek przyszedł mrużąc i w głowę się drapiąc. — Oni nas tu wygonią, co tu robicie! oni tu gospodarują jak w domu.

— Niech ich czarci rwą — rzekł Dorszak, niech wszystko do góry nogami wywracają co zechcą — nie długo tu będzie ich panowania.

Mileżeć... rozumiesz...

Parobek wyszedł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KOLONISTA W IRLANDYI

### TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

**Pawła Heise**

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

## AKT II.

(*Ulica wioski. Na pierwszym planie z prawej strony dom Jakuba Bodenmessa, dalej z lewej strony zagroda Schweitzera. Wieczór, Adam Schweitzer wychodzi ze swego podwórka i w zamysleniu zbliża się ku domowi Jakuba.*)

ADAM

Drżą mi nogi, jak gdybym szedł z jaką nieuczciwą myślą, a serce bije jak młotem... Lęka się we mnie dusza, jak gdybym to ja był zbójcekim heroldem, jak gdybym miał zbójcekie grzechy na sumieniu. (Patrzy w okno) Już się świeci... Obie z matką przy kołkach. A... jakie ona ma rączki, jakie paluszki malutkie... Czy możesz Adamie Schweitzer sięgać po tę rękę i żądać, aby ją ksiądz z twoją złączył... czy możesz?... (Po chwili milczenia). Ach! jestem głupiec... Co wieczór tak idę do tych drzwi i zawracam, w okno popatrzawszy, a tamten, tamten góral zuchwały, tamten do niej śmie mówić i mówi, a ona go słucha. O!... ona dobroć sama i zaleknie się, a prztem pewno go żałuje, że to nędza taka!... Ale i dla mnie dobra, jak anioł pański słodka... Jak mnie wczoraj łagodnie prosiła, abym jej pomagał poprawić okop nad strugą, która ogród jej zalewa. — Ach! zawołałem — w lot to wszystko sam zrobię i zrobiłbym stokroć więcej, gdybyś mi tylko kazała... Poszedłbym góry przenosić, kamienie łamać... Ona się zarumieniła jak kwiecie miłości gorącej i spuściła oczy, ale je podniosła zaraz. — Adamie — rzekła — wiem żeś dobry dla mnie, bo wszakżeż nasi rodzice są sobie sąsiadami od dawniejszego czasu, niż my żyjemy na świecie. Znamy się od tej pierwszej godziny życia, kiedyśmy się w ojezystych domach porodzili... Mówiła pięknie miłości słowami, ale miała głos smutny i oczy były smutne... Patrzyła na mnie jak przez mgłę, żałownie... I nie dała mi samemu robić, ale przysłała tylko parobka i dziewczę... (Patrzy znów w okno. Tymczasem nadchodzi z pola Jakub Bodenmesser z kosą na ramieniu).

JAKUB

Dobry wieczór Adamie...

ADAM (*odskakując od okna*)

Dobry wieczór... Zabierałem się właśnie ojece wejść do was.

JAKUB (*z uśmiechem*)

Przez okno...

ADAM

Patrzyłem czy jesteście w domu ojcze.... Chciałbym z wami pomówić. Chciałbym, jeżeli czas macie...

JAKUB

Robotę się już skończyło Bogu chwała i myślałem sobie, że człowiek siedzie na odpoczynek przy stole i trochę Pisma świętego poczyta. Ale rozmowa z bliźnim, z uczciwym człowiekiem, to też rzecz Bogu miła. Chodź mój chłopcze do izby, pogadamy....

ADAM (*nieśmiało*)

Jeżeli można ojcze, to tubym wolał.... Na otwartem powietru, zawsze mówić łatwiej....

JAKUB (*wiesza kosę na gzymsie koło okna i siada na ławce*)

Dobrze, chłopcze, siadaj i mów....

ADAM (*zostaje stojący*)

Wicie ojcze, że złe mamy czasy. Ludzie tutejsi niespokojni są i roi się tego wciąż koło nas, jak mrówek koło mrowiska. *Białe chłopcy* coraz to wyżej głowy podnoszą i ksiądz pastor czytał dziś w gazecie, że parlament w Londynie chce temu koniec położyć. Bóg da, że przecież raz przysła z Anglii żołnierzy i spokojność zrobią. Ale tutejsi głośno już gadają, że Francuzi wyglądają lada dzień i ze starego zamczyska na górach zrobią twierdzę, warowny gród dla Antychrysta. Pan jeden w niebie wie, co ci bałwochwalcy i niespokojniki wyrabiać myślą? Chcą mieć w posiadaniu ujście rzeki. Czasy mogą przyjść ciężkie....

JAKUB (*smutnie*)

Broń nas od tego Panie! Człowiek pragnie wieść życie spokojnie i niezakłócone, pragnie na chleb dla ust swoich i na mienie dzieci swoich w poście czoła pracować.

ADAM

Ale gwałtowniki i włóczęgi bez dachu sprowadzą nam wojnę, mord i zniszczenie. Co zbójca nam nie wydrze, nie spali, nie zabije, to stratuja konie żołnierskie. Nie tego przecież lękam się najwięcej.

JAKUB

Jest też to doczesne utrapienie i doczesna troska. Skoro Pan, który jest władcą wszystkiego, dał nam stokrotny plon obfitości ziemskiej, niech Mu będą dzięki i za żniwo, doświadczenia, które zesłać może. Szczęście rozleniwia serce człowieka.

ADAM (*z goryczą*)

O! nie rozleniwiał się tu chyba nikt ze szczęścia zbytniego. Toż nie ma jeszcze roku, jak matka moja poszła gryść ziemię ze strachu przed zbójcami, którzy nam przybili na drzwiach pozew, abyśmy się wynosili tam z kądśmy przyszli, bo potem nie każdy z duszą ujść zdoła. Gdyby nie to, żyłaby dotąd ciężka i uleczy się łatwo, ale padł na nią strach taki, że ją febra trzęsła od rana do wieczora. Tutejsze wyziewy jak tutejsi ludzie: niczemu ufać nie można; co krok może czychać zdrada i śmierć.... Biedne matczyńsko!

JAKUB

Niech jej świeci światło wiekuiste mój synu. Daj pokój umarłym w grobie, a raczej przebywającym już u Boga, ojca naszego, który jest w niebiosach. Matka twoja tam poszła i dobrze jej....

ADAM

Ale nam ojcze złe teraz i smutno bez niej. Nie mówię tego według samego siebie, ale staremu ojcu tu ciężko żyć w osieroceniu samotnym. Pustka jest u nas i chłód wieje z kątów. Brak domowi gospodyni....

JAKUB

Bóg dał, Bóg wziął....

ADAM

Ojcze, patrzyłem do was przez okno, gdyście właśnie nadeszli. Już tam w izbie jasno się świeci i kółka warczą, a czyste szyby błyskają zdaleka jak oczy szczęśliwego człowieka. Ale u nas nie ma komu tej wesołej czystości utrzymać. Ach ojcze, u was jest aż dwie gospodynie....

JAKUB (*z uśmiechem*)

Czy nie chciałbyś może, abym ci jednej odstąpił?

ADAM (*ze wzruszeniem*)

Tak jest ojcze.... Tego chcę, tego pragnę....

JAKUB

Niech cię Bóg błogosławi mój synu. (Kładzie całującemu go Adamowi rękę na głowie) Modliłem się nieraz w ciszy nocej, aby Bóg nie opuścił dziecka mego i dał Hannie uczciwego przyjaciela, któryby nad nią czuwał, gdy trawa rość będzie nad siwą głową moją. Nośłem cię niegdyś chłopcze na rękach i serce moje zawsze cię nazywało synem.

ADAM

Od małości też ojcze czułem się jak gdyby dzieckiem waszym. Jestem wychowany w posłuszeństwie i uszanowaniu dla was.

JAKUB

Chodź chłopcze do izby, do kobiet....

ADAM (*zmieszany*)

O! nie dziś ojcze.... nie śmiem.... Może lepiej jutro rano? Kto wie jeszcze czy Hanna?....

JAKUB

Co? Czy Hanna będzie cię chciała? Bajki ci chodzą po głowie.... A kogóż lepszego chciełby mogła? Ale czy ojcicie wie o tem co zamierzyleś?

ADAM

Wie i pobłogosławił chęci moje. — Sprowadź mi Adamie córkę do domu a błogosławieństwo Abrahama, Izaaka i Jakuba niech będzie z tobą.... powiedziać mi wychodząc.

JAKUB

Więc dla czego odkładać radość i ociagać się w szczęściu? Życie jest krótkie a noe to duży kawał czasu. Można umrzeć sto razy i nie doczekać wesela, które miał nam przynieść poranek. (Otwiera drzwi domu i woła do sieni) Chodźcie tu.... matko, Hanno, chodźcie do nas.

HANNA (*z izby*)

Zaraz ojcze, zaraz....

JAKUB

Nie stój tak pokornie Adamie. Jesteś przecież dzielny chłopak....

ADAM

Ach! ojcze.... ale ona!.... Drugiej takiej niema.... (Kobiety nadchodzą)

HANNA (*całując ojca*)

Długoście ojcze, bawili dziś na łąkach....

JAKUB (*biorąc ją za rękę*)

Hanko, patrz ino.... Czy znasz tego chłopaka, który tu oto stoi, Adama Schweitzera?

HANNA (*zmieszana zdobywając się na uśmiech*)

Jakżeby nie miała znać ojcze.... Bawiliśmy się razem w piasku.

JAKUB

Teraz dziecko moje inna musi być dla was zabawa, a raczej Bóg chce, aby się stała rzecz poważna.

ELŻBIETA (*żywo*)

Co to ma znaczyć ojcze?

JAKUB

Ma to znaczyć, jak powiedziałem, rzecz poważną... Matko, czy przystajesz na to, aby ten nasz klejnot dać temu oto chłopcu.

ELŻBIETA (*radośnie*)

Ach! Pan usłyszał skryty głos serca mego i niech mu będzie za to chwała wiekuista! (Słychać za sceną wrzawę wielu głosów. Wszyscy obracają głowy i słuchają z trwogą, prócz Hanny która cofa się w tył i opiera o filar ganku jak bezwładna).

JEDEN GŁOS ZA SCENĄ

Prędko doktora, prędko....

DRUGI GŁOS

Już wszystko darmo, już go nikt nie wskrzesi....

JAKUB

Jakieś nieszczęście!... Idą tu prosto, niosą kogoś... (Z tłumem zbliżającego się ludu wybiega przodem jeden wieśniak i zaczyna silnie kołatać do drzwi domu Schweitzerów, wołając) Otwórz Adamie, prędzej, o prędzej otwórz....

ADAM (*zwracając się ku wołającemu*)

Czego odemnie chcesz Gottliebie? Czego tak wołaś? Co się stało? (Nadchodzi tłum wieśniaków kolonistów otaczający nosze, na których spoczywa siwy starzec w ubiorze niemieckim. Stawiają nosze przeddrzwiami domu Schweitzerów. Dzieci, kobiety płaczą)

GŁOS Z TŁUMU

Zabity, zabity na śmierć. Przestrzelony przez samo serce....

ADAM (*który stał zrazu zdrewniały*)

Mój ojciec! ach mój ojciec.... zabity! (Rzuca się ku noszom).

ELŻBIETA

Nieszczęście! o! nieszczęście....

JAKUB

Lećcie po doktora, niech ratuje koniecznie.

ADAM (*powstając*)

Już nie uratuje.... Zabity, zamordowany.... (W tej chwili nadchodzi wójt i chirurg, który opatruje ciało).

WÓJT

Kto pierwszy odkrył to nieszczęście. Gdzie ciało zostało znalezione?

CHIRURG (*przerzywając*)

Już tu nikt nic nie pomoże. Śmierć sprowadziła kula, która przez plecy przeszła pierś. Skonał nie zipnąwszy nawet.

JAKUB

O Panie! ręka twoja jest ciężka, skoro się opuści na kogo. Mąż wkrótce po żonie, i oboje jednakową niemal śmiercią.... Zgroza! zgroza!

WÓJT

Czy nikt nie był świadkiem zabójstwa, czy nikt nie może objaśnić sprawiedliwość, jak popełnionem było. Kto wie cokolwiek o czynie zbrodniczym, niech wystąpi i mówi....

STARY WIEŚNIAK (*występując*)

Ja panie wójcie znalazłem ciało, ale nie było już w niem ani iskierki życia. Z Timbury szedłem, gdzie się zasiedział do późna i szedłem drogą nad rzeczną, spiesząc się, bom miał trochę grosza przy sobie, i bałem się jakiego złego spotkania. Kiedym właśnie minął bród i spojrziałem ku skałom, które w zachodzącym słońcu stały jak krwią oblane, a dołem nad wodą już mgła leżała, przeszło mnie mrowie i przyszło na pamięć wszystko, co kiedy ludzie mówili o rozbójnikach, o mordercach—o *białych chłopach*. Aż tu patrzę, koń osiodłany stoi nad rzeką, ale jeźdźca nigdzie nie ma, a koń uszyma strzyże i drży. Idę dalej i widzę, że to kasztanowata kobyłka starego Schweitzera, więc myślę sobie:—Bogu chwała, będzie nas dwóch w tej drodze.... Ale na nieszczęście, już to nie jego znalazłem. Był niedaleko, był o trzy kroki dalej, aie obym go był tam nie ujrzał.... (Ociera oczy).

## GŁOS Z TŁUMU

Trzeba zbójcę wynaleść, trzeba ścigać mordercę.

## WIEŚNIAK

Leżał dołem nad wodą, tak już bliżusieńko rzeki, że jeden cal gruntu mniej a byłby plusnął w wodę. Zlałem go zaraz wodą, ale już darmo, ani tchnął.... Nikogo nie widziałem przy nim, nie było po nikim śladu żadnego, ale krew niewinna o pomstę woła i zbójca wysledzonym być musi....

## GŁOS Z TŁUMU

Kto go wysledzi.... kto znajdzie wiatr w polu!... Tu do koła nas zbójce, mordercy, grabieżniki.

## WÓJT

A czy mu co zabrano?

## WIEŚNIAK

Nikt nie szukał przy nim, nikt nie myślał o tem. Każdy jeno ręce załamał i narzeka: — Zabili uczciwego człowieka!.... naszego brata i ziomka kochanego. O! niech Bóg ukarze zbójca, niech miara jego grzechów przepelni się i wyda go na potępienie!

## GŁOS Z TŁUMU

*Biali chłopcy* to uczynili, nikt inny, tylko oni.... Czyż ten człowiek uczciwy wszedł kiedy w drogę czyją, czy kogo skrzywdził na groszu lub sławie, aby miał mieć wroga jakiego? Ale *Biali chłopcy* byli mu wrogami jak wszystkim nam, i oni dokonali niecnoty.... (James Hennessey nadchodzi z drugiej strony, drogą od gór. Na ramieniu ma strzelbę, i Adam ujrawszy go, wybiega gwałtownie ku niemu).

## ADAM

Oto jest zabójca! oto jest... trzymajcie go.... (Tłum się cofa z przerażenia, od strony domu Bodenmessa wyrwał się żalony krzyk. Hanna poderwała się z miejsca i stanęła obok Jamesa).

ADAM (*namietnię*)

Bierzcie go bracia, wiaźcie go, to on... Tak on... Zbrodnia patrzy mu z oczu, krew mu padła na głowę i znać ją.... To on.... Krzycecieście pomsty, a teraz stoicie jak gdybyście się lękali tego zbójcy irlandzkiego, który was nienawidzi wszystkich i wystrzelałby do jednego gdyby mógł. A! nie ruszacie się.... dobrze, dam sobie sam radę. (Rzuca się ku Jamesowi, który go silnie odpycha).

## WÓJT

Zatrzymajcie biedaka, z żalu zmysły traci i miota się na ludzi.

## ADAM

Tak, mnie pan wójt każe trzymać, a zbójca niech wolno idzie. Dobrze! jutro zastrzeli drugiego, trzeciego pojutrze... dobrze!...

## WÓJT

Jamesie Hennessey ciężkie oskarżenie zostało wniesione przeciwko tobie.

## JAMES

Oskarżenie szaleńca, któremu się rozum pomiejszał. Kto może powiedzieć, abym ja, James Hennessey podniósł rękę na siwą głowę.

## WÓJT

Gdy krew zawrze, a twoja krew Jamesie Hennessey nie należy do zimnych, gdy krew zawrze jak woda w kotle, prędko się w oczach zaćmi i Bóg wypadnie z pamięci. Kto w sercu zawsze nosi nienawiść i zemsty pragnienie, łatwo dochodzi do zbrodni.

JAMES (*z oburzeniem*)

Zkąd sir mówisz to do mnie? Gdy mówił to syn zabitego, przebaczyłem mu, bo jest człowiek dotknięty nieszczęściem, ale inni wiedzieć powinni co to są słowa takie.

WÓJT (*gniewnie*)

Jamesie Hennessey, każde dziecko we wsi wie, że masz stosunki ze zbójcami, którzy w górach rozbijają. Każde dziecko to powie, że należysz sercem i duszą do *Białych chłopców*.

JAMES (*dumnie*)

A czy to dzieci także wykonywają sprawiedliwość w tym kraju? Czy to taki obyczaj bywa u lutrów?

## GŁOS Z TŁUMU

Lży nas, bluźni naszej wierze.

WÓJT (*z powagą*)

Cicho tam.... (Do Jamesa) Jamesie Hennessey, ta strzelba w twoich rękach już jest poszlaką.

ADAM (*gwałtownie*)

Nie szukaj panie wójcie poszlak, nie zbieraj świadków, dlaczego zabił starca, zamordował ojca mego. Ja to wiem lepiej niż powiedzieć mogę. Wiem przy czynę.... Nienawidzi mnie dla jednej rzeczy skrytej, i chciał mi rozedrzeć serce. Mnie samego bał się tknąć, ale zaczął się i zabił mi ojca....

## WÓJT

Cóż odpowiesz na to Dżemie Hennessey?

## JAMES

A dla czego mam odpowiadać, z jakiej racji mam to czynić. Napadł mnie jak wściekły pies na drodze i miota się na mnie, śpiewa zwyczajną piosenkę luterską.

WÓJT (*surowo*)

Strzeż się Jamesie Hennessey. Dopuszczasz się obelg przeciwko wierze spokojnych mieszkańców, i zakłócasz tym sposobem pokój gminy.

## GŁOS Z TŁUMU

Lży nas od początku i prawdą jest, że nienawidzi nas z duszy i serca złośliwego. Taki może być prędko mordercą, prędko może krew ludzką wytoczyć.

## WÓJT

Proszę raz jeszcze o cichość i spokojność. Jamesie Hennessey, widzisz, że nie jeden głos jest przeciwko tobie, oskarżają cię o złe uczucia, które i ja sam wiem, iż w sercu nosisz. Ale tu nie jest miejsce sądu. Proces musi ci być wytoczonym, lufa twej strzelby musi być zmierzona z kulą, która z rany trupa wyjęta zostanie, ty zaś musisz przez ten czas być trzymany pod strażą. Oddaj broń swoją i oddaj się w ręce sprawiedliwości....

JAMES (*wyniosłe*)

Każ mnie wiaźcie panie wójcie.... Każ mnie wiaźcie i odebrać mi broń moją. Proszę, proszę, niech kto przyjdzie to uczynić.... Macie mnie między sobą, jednego na was tyłu.... O chce mi się z was śmiać, jak z roj: os, które opadną człowieka, chce mi się śmiać z ciebie panie wójcie. Cóż to sir myślisz, żebym był taki głupi iść między was, gdybym zabił tego starca, którego trup tam leży. Moja broń nie na taki użytek przygotowana, aby strzelać do starców, którzy i tak śmierć lada dzień skosi.... Moja broń jeszcze nigdy nie wytoczyła krwi ludzkiej, ale póki mam ją w garści, a proch może się zapalić na panewce, niech każdy luter wie, że nie dam mu się tknąć i nie puszcę mu płazem, gdyby się ważył na to. Powiadacie, że bluźnił waszym świętościom.... głupi ludzie! a któż to w tym kraju chwali je i kłeka przed nimi? Z drogi mojej, powiadam wam, z drogi!.... niech umarły pójdzie do trumny, a żyjący pod szwabskie pierzyny.... Dobrej nocy.... James Hennessey nie myśli ani was nienawidzić, ani zemsty szukać na takiej garści nędznych przybłądów, którzy tu przyszli za chlebem, jak zwierzę za żerem.... (Krocząc dumnie przechodzi w poprzek ulicę i dąży w bok).

ADAM (*wyrzuwając się*)

Puszczajcie mnie, o puszczajcie! niech go zabiję....

## GŁOS Z TŁUMU

Ucieka jednak, ku rzece się skierował i ucieka przed sprawiedliwością.

## WÓJT

Zelżył w osobie mojej zwierzchność krajową i uszedł przed wezwaniem sprawiedliwości, macie prawo zatrzymać go, gdzie spotkacie i odstawić do urzędu gminnego. A wy bracia, nieście trupa pod dach jego domu. O! bolesna to noc, która zapada, bo wiem, że pod tym względem głos ogółu się nie myli: czy James Hennessey we własnej osobie lub ktoś inny zabił starca z siwym włosom, wszystko to jedno.... zawsze zabójstwa dokonał duch wrogi, który tu szczydził przez usta zuchwałę i rzucał nam w oczy obelgi jak gromadzie żebraków i włóczągów. (Młodzież chwilę szepejącą między sobą, wypuszcza się biegiem szybkim w stronę, którą oddalił się James, Adam pędzi przodem).

HANNA (*wyciąga ręce do ojca*)

Ojce! Ojce! to rzecz okrutna. (Pada mu płacząc w objęcia).

## Zasłona spada.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

(Dokończenie).

Imię zmarłej pani Muchanow przywodzi naturalnie na pamięć losy towarzystwa muzycznego, instytucji, która inicjatywie s. p. Maryi zawdzięcza wielką część tego życia, jakim dotąd żyje. Mianowicie zebrania piątkowe są miłą spuścizną, dotąd starannie przechowywaną prawem zwyczaju, a nawet strzeżoną jak Znicz przez gorliwych członków towarzystwa, nie pozwalających płomieniowi przygasać.

Właśnie w początkach bieżącego roku zaczęła się okazywać w zebraniach piątkowych stagnacja coraz większa, dyżurni bardzo często od urządzania muzyki się usuwali — tak że gorliwsi członkowie, pragnąc piątkom przywrócić ich regularny bieg, a zarazem zreformować pewne punkta w ustawie, uważali za konieczne zwołanie nadzwyczajnego ogólnego zebrania. Główniejsze przedmioty narad stanowiła kwestya, aby dyrektor muzyczny nie był

członkiem komitetu, ale mógł być wybierany przez ogół z pomiędzy kandydatów przedstawionych przez komitet; oraz aby zebrania piątkowe uzyskały czynne i nawet finansowe poparcie ze strony komitetu. Wnioski te ogólne zebranie zatwierdziło — ale nadchodząca pora wakacji letnich wstrzymała zastosowanie kwestyi dyżurów piątkowych, zaś kwestye dotyczące zmiany ustawy z natury swej również dopiero za kilka miesięcy rozstrzygnięte być mogą, po stosownem przedstawieniu ich w ministerjum spraw wewnętrznych.

Zanim więc owe zmiany, tak ogólnemu zebraniu pożądane się urzeczywistnią, mamy jeszcze czas zastanowić się nad ich spodziewaną praktycznością. Nie ulega kwestyi, że nacisk położony na zebrania piątkowe może przynieść wiele dobrego instytucji, i przywrócić na jej łono dużo wykreslających się dzisiaj członków — ale czy skutek odpowie oczekiwaniom, nie można dziś ręczyć z pewnością. Dla niektórych dyżurnych zapewne że kwestya pieniężna będzie ułatwieniem do urządzania jakiegoś programu; ale czy innych to nie odstręczy? Zresztą, nacisk położony na rzecz, zależną głównie od dobrej woli wątpliwe miewa skutki. Gdzie dobrej woli niema, nie pomoże kilka rubli. Mnie się zdaje, że główną rękojmnię powodzenia towarzystwa byłyby nie piątki, lecz dwutygodniowe oficjalne wieczorki towarzystwa. Ich to programy, dziś w ogóle skromne, uczyniłbym do przesady poważnemi i pięknemi; fundusz dodatkowy, przeznaczony na piątki, chętniebym na cel podniesienia śród przydał. Piątki są tylko rozrywką — środy zaś powinny być niejako reklamą, firmą towarzystwa, jego chluba. To jedno by prawdziwie przyciągnęło członków, jedynych przez szczerze zamiłowanie piękna, drugich przez szlachetną dumę, że u nas tak poważna istnieje instytucya.

Dla tego bezwarunkowo bym sądził, że programy środowe zamiast pięciu jak dotąd numerów, przynajmniej 7 lub 8 ich posiadać powinny, jak prawdziwe koncerty — wtenczas przy takich środach i piątki by łatwiej się udaly; bo wiadomo że ruch jeden wywołuje ruch drugi — a stagnacya w jednym punkcie, wszystko obezwładnia.

Z tego powodu i punkt II-gi, aby dyrektor nie był członkiem komitetu, ale niejako komitetowi podwładnym, wydaje się bardzo dobrym, jeżeli tenże dyrektor wprowadzi większe bogactwo do programów częstokroć na prędece zapełnianych tem co jest pod ręką.

Mimo tych uwag i utyskiwań, z przyjemnością wspomniemy o programie jednego z ostatnich wieczorów, który lubo nie długi, bardzo był zajmujący z powodu współdziałania skrzypka p. Gustawa Frymana. Dziwnie mi jest zawsze pisać jako sprawozdawca o artyście, który mi był przyjacielem od lat pacholęcych; jednakże przyjaźń dobrze pojęta lubi prawdę mówić jasno, i tem okazuje najwyższy szacunek i zaufanie względem przyjaciela. P. Fryman zyskał sobie już uznanie w całej Europie, jako *wirtuoz*; ostatniemi czasy znalazł się w Petersburgu, w gronie przerażających znakomitości, i pod zębem bardzo ostrych krytyków, wszakże wyszedł z tej walki chwalebnie. Słyszeliśmy rozumie się niejednokrotnie różne sztuki z repertoaru p. Gustawa — znaleźliśmy w jego grze wdzięk, elegancję, wyborny mechanizm, efektywność pełną dobrego smaku — niekiedy nawet wielką czystość stylu w śpiewnych klasycznych ustępach; wszakże i wprzód, tak i na owym ostatnim koncercie przekonaliśmy się, że artyście przydałyby się studia, *con amore* prowadzone nad muzyką zbiorową, sonatami, tercetami, kwartetami etc. W kreutzerowskiej sonacie (której techniczne wykonanie było wyborne), czuć było nieraz, że artysta nie wie jakby najlepiej to lub owo nam zagrać — tu naśladował kogoś, ówdzie był salonowo tylko eleganckim, rzadko gdzie był swobodnym i natchnionym — prawdę rzekłszy, i fortepian

dość chłodno skrzypcom odpowiadał — słowem, nie znaleźliśmy spokojnego o władnięciu przedmiotem, którego od takich artystów jak pp. Zarzycki i Fryman wymagać mogliśmy. W drugiej części koncertu, nokturn Chopina, z tonu des, zagrany na skrzypkach podług transkrypcyi Wilhelmięgo, przesłesznie się wydawał.

Lecz niech już będzie koniec sprawozdaniom koncertowym — przejdźmy raczej do teatru, gdzie nas wzywa „Straszny Dwór“ Moniuszki. Przesłeszna ta opera jest prawdziwą perłą między operami naszego ukochanego mistrza. Przypisać to należy w wielkiej części tekstowi, który mimo swych niedostatków, szczególnie widnych w akcie 4-tym, przedstawia dla kompozytora przesłeszne i sympatyczne motywa. Odjazd Stefana i Zbigniewa, powrót do rodzinnej zagrody, sceny w dworze wiejskim, stara opuszczona sala, zegar z kurantem, cokolwiek strachu i fantastyczności — jakie to miłe przedmioty dla podsycecia twórczej fantazyi kompozytora! W całej operze znać tę świeżość i werwę z jaką widocznie pisał ją s. p. Moniuszko. Prolog przedstawiający scenę odjazdu, jakże wspaniałe! Jak umiejętnie władanie masami chóralnemi! Jak przesłeszny i jak pięknie ułożony ów temat: „tegoś wyrzekł panie bracie, to mi głowa, to mi plan! Niema niewiast w naszej chacie, wiwat, semper wolny stan“. A dalej, jakże miły powrót bohaterów powieści do domu, ta scena niema przywitania, w czasie której klarnet tak śliczną wykonywa kadencya! I wszystko, wszystko co tam dalej się rozwija. Krakowiczek śpiewany przez stryjenkę (pani Dowiakowska), bardzo miły; dalej legenda o strasznym dworze, pełna charakteru, przeplatana umiarkowanym komizmem, wyborne przystaje do talentu twórczego Moniuszki, lubiącego fantastyczność.

Niezrażeni groźbami Stryjenki, Stefan i Zbigniew w wigilię Nowego Roku przebywają do Straszego Dworu. Śliczna jest scena otwierająca akt trzeci: chórek dziewcząt przedających przy kołowrotkach, prosty a oryginalny, nie naśladuje w niczem innych opery a podobną sytuacją malujących. — Śliczny duet z chórem przy laniu wosku, Polonez Miecznika, są to godne uwagi numery. Nadzwyczaj skomplikowany nonet z podwójnym chórem stanowiący finał aktu II, nie wydał nam się weale ciemnym i niezrozumiałym: owszem, po dwukrotnem jak dotąd dopiero jego słyszeniu osmielam się stawić ten ustęp obok najznakomitszych dzieł wielkich mistrzów.

W akcie trzecim najwięcej skarbiów rozwija mistrz nasz: komizm wyborny połączony z jakąś legendową tajemniczością daje przepyszne efekta — cóż to za wyborna pieśń Skołuby (p. Siwicki), kończąca się temi słowy: „boisz się“ — nie — „zażyj tabaki“. Szczególniej w drugim kupiecie instrumentacya przesłeszna — gammy robione pianissimo na flecie dziwnie czarujący sprawiają efekt. Dalej Arya z Kurantem — to już arcydzieło do łez wzruszające. Dźwięk chropawy uderzeń zegaru wyborne naśladuje tam — tam — poczem idzie Kurancik cudownie instrumentowany, którego temat wszystkie nerwy porusza! Flet, arfa, fortepian i tryngauł podobno składają się na to cacko — pan Cieslewski swą partyą śpiewa cudownie — jest to chwila w której płakać można! Kiedyś, po bliższem obeznaniu się z partyturą orkiestrową, chciałbym i ja zrobić nad tą operą dłuższe studjum; dziś tylko pobieżnie, i brakiem miejsca krepowany, słabą pamięcią luźne przytaczam wrażenia. Np. jak wyborne tryl na fagocie naśladuje strach poczciwego Macieja.

Rozwiązanie opery proste bardzo: strachy nie pomogły, i Zbigniew i Stefan zabrali sobie dwie panny, wbrew intrygom ich Stryjenki, mającej inne plany, oraz ich starego adoratora p. Damazego. Czwarty akt niema dość życia z winy libretta — ależ mazur jaki nieopisanie wspaniałe! — Tyle piękności w tych kilku aktach zdumiewa istotnie! i trzeba przyznać,

że tu nawet mistrz sam siebie przeszedł niejako — jeśli Halka zadziwia bogactwem tematów, „straszny dwór“ jest oprócz tego opracowany z dziwną miłością i troskliwością! Cześć autorowi, cześć i chwala, a nam chluba, że go swoim nazwać możemy! Opera wykonana jest z nadzwyczajną starannością, przynoszącą zaszczyt artystom, chórom i dyrektorowi.

W chwili ostatniego oddania artykułu pod prasę, dopisujemy słów kilka o pierwszym koncercie orkiestry złożonej z młodych wychowalców Warszawskiego Konserwatorium. Występ ten powiódł się wyborne, i należy się słowo, wielkiego uznania panu dyrektorowi Kątskiemu, który swą energią i nawet znacznem poświęceniem materyalnem doprowadził do skutku to dzieło. Orkiestrą dyrygował pan Rożalski, dawniej ucezeń, dziś profesor w Konserwatorium — osób w orkiestrze jest do pięćdziesięciu, z tych osmnastu skrzypków, trzy altówki, trzy wiolonczelle, trzy kontrabasy, dwa flety, dwa oboje, trzy klarnety, trzy fagoty, cztery waltornie, dwie trąbki, trzy puzony. Dętych instrumentów trochę za mało, ale dobre. Precyzya w wykonaniu wielka, życia i zapału dużo, jest więc wszelka nadzieja, że kiedyś ta orkiestra będzie wyborna. Co daj Boże jak najrychlej.

Jan Kleczyński.

## OD WYDAWCY.

Bluszcz w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją i na tych samych warunkach.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy, wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Księgarnia MICHAŁA GLÜCKSBERGA  
w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście  
Nr 7 (411) w pałacu JW. Hr. Krasińskiego  
przyjmuje:

## PRENUMERATE

na pisma peryodyczne krajowe  
i zagraniczne.

Księgarnia zaopatrzona w **nowości literatury krajowej i zagranicznej**, dostarcza wszelkie dzieła tak nowsze jak i dawniejsze przez czyjekolwiek katalogi ogłaszane, nie wyłączając znizonych w cenie.

**Czytelnia książek** polskich i francuzkich przy tej księgarni mieszcząca się, zaopatrywana jest ciągle w wychodzące nowości.

**Skład nut muzycznych** jest ciągle zaopatrywany w dawniejsze i nowsze utwory.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: **Pogawędka**. — **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — **Historya o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Kolonista w Irlandyi**, dramat, (dalszy ciąg), przez Pawła Heise. — **Ruch muzyczny**, (dokończenie), przez Jana Kleczyńskiego.